

NATALIA KALISIAK



Ostatni polsnez

Ostatni polonez

SZCZECINEK | 2025

© Copyright by Natalia Kalisiak 2025
© Copyright by Wydawnictwo Czarny Papillon 2025

Wydanie I

Redakcja: Sylwia Dziemińska

Projekt graficzny okładki, skład i rysunki:
Less R. Hoduń

Korekta: Angelika Kuszła, Monika Całka

ISBN 978-83-972167-4-7

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych –
żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.



Wydawnictwo **Czarny Papillon**
ul. Poznańska 1a
78-400 Szczecinek

*Postać dyrektorki
nie została oparta na żadnym dyrektorze.
Ale jeśli ktoś poczuje, że chodzi o niego,
to być może zbyt często myli władzę z wielkością.*

Nauczycielom.

Część I

Poloneza czas zacząć

Rozdział 1.

Nie każda królowa schodzi z klasą.

Sala gimnastyczna, zazwyczaj pachnąca potem, kurzem i cichą desperacją, tej nocy przeszła metamorfozę i lśniła od światła. Brudne linie boiska zniknęły pod jasną wykładziną, udającą luksusowy parkiet, a matowe tablice i stare kosze wiszące pod sufitem zostały zakryte granatowym materiałem. Można było zatopić wzrok w morzu białych i granatowych balonów, złotych serpentynach zwisających z lamp i sztucznych girlandach wijących się po ścianach. Tuż pod nimi był tłum złożony z nadziei, hormonów i lakieru do włosów. Połowa sali była zastawiona długimi stołami, przy których siedziała młodzież i nauczyciele. Każdy, oczywiście, w swoim gronie. W rogach ustawiono tak zwane słodkie stoły z ciastem upieczonym przez matki i ciotki, a także miejscem do parzenia kawy i herbaty. W powietrzu unosił się zapach perfum, ciasta i lekko stęchłego kurzu, którego ogrom dekoracji nie był w stanie całkowicie ukryć.

Młodzież, jakby nieco za wcześnie wystylizowana na dorosłych, przemieszczała się powoli w tanecznym

korowodzie. Dziewczęta wyglądały poważnie w długich sukniach. Kroczyły z powagą, a ich sylwetki były napięte jak struny. Chłopcy dumnie prezentowali się w garniturach kupionych specjalnie na tę okazję, które będą im służyły również podczas egzaminów maturalnych. Niektórym z nich nawet do czasu, kiedy po latach zorientują się, że nie mogą już dopiąć guzików. Wszyscy starali się wyglądać dorośle, ale ich oczy zdradzały wszystko – niepewność, nadzieję i podszyty stresem perfekcjonizm, jakby ten taniec miał zdecydować nie tylko o ocenach z WF-u, ale reszcie ich życia.

Pary trzymały się za ręce. Przechodziły obok siebie w dostojnych krokach i próbowały powtarzać choreografię wyuczoną na pamięć. Wszystko to było dodatkowo okraszone krzykami instruktorki. Jej głos, ostry jak pęknięta linijka, rozbrzmiewał na sali. Raz po raz ktoś lekko się potykał lub nawet mylił kierunek, ale inni cicho szeptali mu podpowiedzi albo lekko szarpali za dłoń, nadając prawidłowy kierunek.

I znów sunęli. Piękni. Z ambitnymi planami zawojowania świata.

Wszystko to działo na się na oczach rodziców, którzy stali przy ścianach, robiąc zdjęcia i nagrywając filmiki na pamiętkę. Matki szeptały między sobą, komentując

fryzury, suknie, dekoracje, a nawet głębokość dekoltów – jedno z zazdrością, inne z niepokojem. Niektórzy ojcowie natomiast mieli oczy pełne wzruszenia. Inni ukrywali nudę pod uprzejmym uśmiechem. Byli tam też oczywiście zebrani z obowiązku nauczyciele. Mieli blade, wymęczone twarze i obolałe od długiego stania na lekcjach nogi, a ich wymuszone rozmowy skupiały się wyłącznie na dwóch tematach: pogodzie i sprawach szkolnych.

I w końcu była ona... Caryca tego szkolnego świata.

Jagoda Waza, dyrektorka.

Sunęła przez parkiet wśród uczniów i nauczycieli, w ciemnoczerwonej sukni i czerwonych lakierowanych szpilek, z wyrazem surowej dumy na twarzy. Wodziła wzrokiem po zebranych, notując w pamięci każdy nieodpowiedni gest, każdy zbyt głośny śmiech i wszystkie szepty między ludźmi, które mogłyby być o niej. Była dumna, pewna siebie i przekonana, że ta noc – tak jak cała szkoła – należy do niej, bo była nie tylko dyrektorką, ale instytucją, postacią z pogranicza mitu i biurokratycznego koszmaru.

Z założenia, to miała być noc młodych. Ale to ona była królową. Przynajmniej w swoim własnym mniemaniu.

Cztery godziny później, kiedy tańce trwały w najlepsze, stała już wysoko, na antresoli przy balustradzie, patrząc

z góry na bawiących się ludzi i czując nieopisane szczęście, że to wszystko dzięki niej. Uważała bowiem, że to ona była epicentrum tej szkoły i to głównie za sprawą jej działań młodzież mogła pobierać tu naukę, a nauczyciele mieli co do garnka włożyć. Bez jej wiedzy nic nie mogło się wydarzyć.

To jej szkoła. A ona była z niej dumna. Nie zamierzała odpuszczać, bo każda nuta, każdy krok i każdy balon zawisły tu tylko dlatego, że ona tak zdecydowała.

Kiedy odwróciła się, żeby zejść na dół i znów udawać, że podobają jej się opowieści przy stole nauczycielskim, stopa jej się ześlizgnęła...

Nie, ktoś ją pewnie szturchnął! Albo podstawił nogę! A może to podłoga osunęła jej się spod stóp?

Upadek nie był gwałtowny. Ciągnął się, jakby wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Pierwsze uderzenie o kant stopnia było głuche i ciche jak wyrzut sumienia. Zabrało jej oddech. Drugie – brutalne i konkretne – złamało ciszę w jej głowie na ostre, szklane kawałki.

Potem już nic nie czuła.

Jagoda Waza leżała u podnóża schodów groteskowo wykręcona, jakby zaprzeczała fizjologii, a może nawet samej grawitacji, z nienaturalnie odchyloną głową

i otwartymi oczami. Zdawały się patrzeć na czerwoną szpilkę, która zsunęła się ze stopy i zatrzymała nieopodal.

Nie zauważyli jej od razu – przecież tańczyli i świętowali. Świat nie zatrzymuje się nawet w takich sytuacjach, bo w życiu zawsze jeszcze ktoś się śmieje zbyt głośno, ktoś kończy żart, a ktoś inny robi selfie.

Dopiero później ktoś krzyknął.

Dopiero wtedy zaczęli zbiegać się nauczyciele, uczniowie, a nawet rodzice.

Dopiero wówczas martwa cisza ogarnęła uczestników studniówki falami rozchodzącymi się niczym plusk po wrzuceniu kamienia do wody, razem z wieścią gorączkowo przekazywaną z ust do ust. Nagrania z poloneza uwiecznione na telefonach komórkowych były jedynymi dowodami na ostatni taniec dyrektorki.

Karta zdarzenia

Komenda Powiatowa Policji sprawa nr 23/01/2025.

Data zdarzenia:

18 stycznia 2025 r.,
przypuszczalnie między godz. 22.00 a 22.40.

Miejsce zdarzenia:

Liceum Ogólnokształcące im. Henryka Sienkiewicza,
ul. Szkolna 1, Gronowo.

Rodzaj zdarzenia:

Zgon podczas imprezy szkolnej (studniówka).

Opis zdarzenia:

O godzinie 22.47 pracownica szkoły – woźna Genowefa Król – zgłosiła odnalezienie ciała kobiety u podnóża schodów wiodących na antresolę przy sali gimnastycznej. Denatka: Jagoda Waza, dyrektorka szkoły. Świadkowie wskazują, że ofiara opuściła główną salę około godziny 22.00, udając się na antresolę.

Ciało zostało znalezione w pozycji wskazującej na upadek ze schodów. Obrażenia: poważne urazy głowy, możliwe złamania żeber i kręgosłupa szyjnego. Na

miejscu nie widać śladów walki. Brak plam krwi poza obrębem głowy, żadnych zadrapań wskazujących na szarpaninę. Ubrania nieuszkodzone, zegarek nadal działał. Brak kamer monitoringu w obszarze schodów. Kamery na terenie szkoły: jedna przy wejściu do budynku, jedna za budynkiem, jedna korytarz parter (nie działa), jedna korytarz I piętro (nie działa), jedna korytarz II piętro (o dziwo – działa).

Wstępna hipoteza: nieszczęśliwy wypadek (może przez wysokie szpilki?), przypadkowe potrącenie (nieświadome szturchnięcie) lub udział osób trzecich (celowe popchnięcie, sprawa otwarta).

Osoby obecne na imprezie:

Około 100 uczniów i ich osoby towarzyszące, 10 nauczycieli (wychowawcy klas, nauczyciele przedmiotów, administracja i pani od kółka plastycznego, która „przyszła tylko po ciasto”), personel pomocniczy, rodzice (kilka osób „na papierosie” przez większą część wieczoru).

Prowadzący śledztwo: nadkomisarz Adam Rucki.

Uwagi:

- przesłuchania zaczęto ok. godziny 23.30,
- zabezpieczono puste butelki po alkoholu na antresoli,

- dalsze czynności w toku.

Pytania:

- Czy upadek był wynikiem działań osób trzecich?
- Czy istniał motyw do eliminacji dyrektorki?
(spoiler: tak)
- Czy system szkolny w Gronowie właśnie się załamał? (spoiler: też tak)

Rozdział 2.

Nie mam cierpliwości, ale mam Poloneza.

Zielony Polonez rzeził, sapał i prychał, jakby każda przejechana minuta była dla niego osobistą zniewagą, a każdy obrót wału korbowego heroiczną walką o przetrwanie. Nadkomisarz Adam Rucki, który miał więcej zmarszczek niż cierpliwości, poklepał deskę rozdzielczą z wyrozumiałą czułością, mruczając coś, co miało być zachętą dla swojego ukochanego samochodu albo już tylko ostatnim namaszczeniem. Mógłby powiedzieć, że robi to dla dodania otuchy swojemu wozowi, ale prawda była bardziej brutalna – próbował go przekonać, żeby nie zgasł, zanim dotrą na miejsce. Wreszcie auto zatrzymało się przed budynkiem liceum. W sumie na całe szczęście, bo Polonez zawył jeszcze raz – może na pożegnanie, może z urazy – i zamarł dokładnie przed wejściem do placówki. Rucki, bez cienia zdziwienia, wyjął kluczyk ze stacyjki, choć silnik zdążył sam się poddać.

Spojrzał przez brudną szybę. Śnieg sypał dużymi płatkami, ale nie przeszkadzało to w dostrzeżeniu

przed sobą dumnego budynku. Było ciemno, ale światło biło ze środka. Gdzieś tam było widać ciemne sylwetki w oknach, jakby młodzież na niego czekała. Otworzył drzwi z głośnym jękiem zawiasów, wysiadł bez ociągania, nie zamykając auta, bo zamek po stronie kierowcy i tak był jedynie ozdobą. W komplecie do niego było niedziałające od dekady radio i szyba po stronie pasażera, która opuszczała się tylko wtedy, gdy akurat nikt jej nie ruszał. Odetchnął i wpuścił do płuc trochę mroźnego powietrza. Zerknął w lewy kąt dziedzińca, wspominając z nostalgią wyprawy na papierosy między lekcjami. Rucki spojrzał z czułością w stronę swojego partnera, jak zwykł nazywać starego Poloneza. Kumple z wydziału mówili na jego samochód „Borewicz”, w nawiązaniu do jego ulubionego serialu. Niektórzy śmiali się, że zielony Borewicz był ostatnim Polonezem w tym mieście, a nawet w województwie.

Nad głównym wejściem zobaczył tabliczkę z napisem: „Liceum Ogólnokształcące im. Henryka Sienkiewicza w Gronowie”.

– Sienkiewicz by się zdziwił, jakby wiedział, co się dzieje w jego patronacie... – mruknął do siebie i ruszył w stronę drzwi wejściowych.

Za nimi były już wszystkie służby starające się zapanować nad chaosem. Dalej tłoczyli się odświętnie ubrani uczestnicy balu.

Szedł wolno, z rękami w kieszeniach starego płaszcza. Wśród tłumu namierzył przypadkowego policjanta, choć gdyby nie służbowa kurtka, nawet by się nie zorientował, kim jest ten chłopak w czapce naciągniętej aż po same oczy, jakby nadal stał na śniegu i mrozie.

– Nadkomisarz Rucki. – Machnął od niechcenia legitymacją, bo nie znał tego młokosa. A nawet jeśli już się spotkali, to chłopak nie powinien mieć nadziei, że go zapamiętał. – Co tu mamy?

– Zgon. Dyrektorka szkoły, Jagoda Waza, spadła ze schodów... chyba.

– „Chyba”? – Rucki uniósł brew. – Albo spadła, albo ją zrzucili. Widzisz tu trzecią opcję? Bo jeśli tak, to rozrysuj mi ją na tablicy.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę sali gimnastycznej, gdzie żółta taśma policyjna wyglądała jak dekoracja do kiepskiego spektaklu.

W środku szkoła wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał z własnych licealnych koszmarów: duszne korytarze, zielone lamperie, zapach mokrej szmaty i zimne grzejniki.

– Ale salę gimnastyczną mają nową – mruknął do siebie. Wiedział doskonale, że dyrektorka dopilnowała, żeby plan budowy obiektów sportowych na terenach szkół powiatowych objął również, a może nawet głównie, jej szkołę. Lubiła się tym chwalić, pozując do zdjęć tuż obok starosty. Rucki nie lubił atencjuszy, którzy wszystko robili pod publikę, a w środku byli zgnili jak zapomniane jabłka. A takich w jego pracy niestety nie dało się uniknąć.

Stanął w miejscu i spojrzał przed siebie. Na dole schodów, otoczona taśmą policyjną i gapiącymi się z różnych kątów nauczycielami, leżała dyrektorka. Waza prezentowała się jak upiorna wersja Śpiącej Królewny. Jej balowa suknia była rozpostarta w nieładzie na kaflach, kręcone włosy rozsypały się jak promienie wokół słońca, a zastygnięty wzrok wyrażał zaskoczenie. Krew nie wylała się widowiskowo, była tylko tam, gdzie trzeba, by jej obraz wrył się w pamięć na całe życie.

– No, no... – zacmokał Rucki. – Ktoś tu miał pechową noc. Spojrzał na młodego policjanta, który dreptał przy jego nodze jak pies.

– Wiesz, co to ostatni polonez?

Młody zamrugął.

– Eee...

– Ech... – westchnął nadkomisarz, kręcąc głową. – To ostatni taniec tej tutaj. Reszta natomiast będzie teraz tańczyć, jak ja im zagram.

I ruszył w stronę ciała, rozpinając powoli płaszcz, jakby wchodził na scenę spektaklu, którego był głównym reżyserem. Z bliska było widać, że nie był to zwykły upadek. Owszem, schody zrobiły swoje, bo skroń była rozcięta, krew zasychała na czole, a nadgarstek wygięty był pod nienaturalnym kątem. Ale coś mu się nie zgadzało... Coś drapało go w tył głowy i jeszcze nie chciało stamtąd wyjść.

– No dobrze, Jagodo Wazo – mruknął pod nosem. – Ktoś cię nie lubił.

Odwrócił się do młodego, który poderwał się w jego stronę jak przywołany do tablicy, choć Rucki nawet go nie zawołał, i wycelował w niego palec.

– Świadkowie. Lista. Teraz.

– Jest ich ze stu... – zaczął chłopak.

– Niech będzie i tysiąc. Nauczysz się czegoś, młody.

Rucki wszedł po schodach i podszedł do balustrady, a następnie wychylił się i spojrzał w dół, gdzie nie dostrzegł już nikogo na parkiecie. Czuł pod palcami chłód metalu, a pod stopami lekkie drżenie

konstrukcji. Nie miał pewności, co go tu przyciągało. Ciekawość? Pragnienie sprawiedliwości? A może stara, dobra adrenalina?

Nie znosił śmierci. Ale lubił zagadki. Na bal studniówkowy przyszło zakończenie, którego nikt nie zapraszał. A „ostatni polonez” właśnie się zaczynał...

Część II

O jeden schodek za daleko

Rozdział 3.

Wiem, kto z kim i za ile – ale nie powiem.

- Ja nic nie wiem, panie władzo.
- Proszę zacząć od początku – odburknął ten z krzaczastymi brwiami, który miał spojrzenie jak nauczyciel matematyki po trzech kawach i jednej wielkiej porażce wychowawczej.

Nie lubiłam siedzieć na tych twardych krzeselkach szkolnych, które już dawno powinny trafić na emeryturę razem z meblościanką w pokoju nauczycielskim. Mój kręgosłup, wystawiany od dekad na próby podczas szorowania podłóg, dźwigania wiader i gaszenia awantur, protestował za każdym razem, gdy zmuszano mnie do biernego siedzenia. Zresztą, w moim wieku człowiek nie powinien siedzieć beczynnie – ani w życiu, ani zmuszony przez policję. Znowu będę musiała poprosić lekarza rodzinnego o skierowanie na rehabilitację i czekać rok na termin. Ba! Rok, to jak załatwię po znajomości, bo tak, to już podobno ze trzy się czeka. Człowiek prędzej umrze niż go wyleczą... W tej

służbie zdrowia to i sam święty by się zirytował, a ja – choć wśród kółka różańcowego w naszej parafii uchodzę za cierpliwą – też mam swoje granice.

Żeby nie było ze mną, jak z tą Szadkowską z mojej klatki, co to umarła dwa dni po zapisaniu się do dentysty. Tętniak, mówili, ale ja już swoje wiem. Może to po prostu brak terminu ją zabił?

A tu jeszcze ten pan nadkomisarz, czy jakoś tak, w znoszonym płaszczu, patrzył spod brwi tak intensywnie, że poczułam, jak robi mi się gorąco na karku i zimno w pięty. Przecież mogłam od tego udaru dostać! I kto by wtedy mył schody?

– Może pani zaczynać – pogonił mnie tonem, który przypominał mi moją starą przełożoną ze stołówki na koloniach. Też miała głos jak tarka do warzyw.

Cmoknęłam cicho z niezadowolenia, choć miałam ochotę wytknąć mu, że kultura nie boli. Ugryzłam się w język – i to dosłownie – bo cwaniaków widziałam już tyłu, że potrafiłam rozpoznać, kiedy lepiej milczeć.

– Nazywam się Genowefa Król, ale wszyscy mówią na mnie po prostu „pani Genia”. Od trzydziestu lat pilnuję tej szkoły. Tylko niech pan nie myśli, że operuję tu wyłącznie miotłą i mopem. Pilnuję drzwi, kluczy, plotek i młodzieży. A, no i nauczycieli, choć oni akurat nie muszą o tym wiedzieć.

Spojrzał na mnie bez emocji, jakby słuchał komunikatu pogodowego, czyli że zimno, pada i lepiej nie wychodzić z domu.

– Czyli jest pani woźną?

– Oj tam, zaraz woźną! Dwudziesty pierwszy wiek mamy, a ja się identyfikuję jako asystentka do spraw wszelakich. Z naciskiem na „wszelakich” – rzuciłam z błyskiem w oku, mrugając uroczo. Zero reakcji, jakby miał twarz z gipsu.

– Proszę opowiedzieć o studniówce i o tym, co się tu wydarzyło.

Przełknęłam ślinę. Czułam, jak serce mi bije trochę za szybko, a ta sprawa nie skończy się zwykłym wpisem do dziennika.

– Miałam dyżur przy drzwiach. Sprawdzałam listę obecności, żeby nikt obcy nie wszedł, oczywiście oprócz tych, no... partnerów, co to przyszli jak na wesele, niektórzy w garniturach po wujku. Wszystko zgodnie z instrukcją pani dyrektor.

Nadkomisarz Rucki notował coś w swoim notesie, po czym znów na mnie spojrzał. Jego mina nie wyrażała niczego.

– Czy pani Waza była surowa?

Zaśmiałam się, choć w tej sytuacji nie powinnam. Gdyby surowość miała imię i nazwisko, byłaby to Jagoda Waza. Taka, która zamiast „dzień dobry” mówiła: „Dlaczego się spóźniasz?”. Jak przechodziła korytarzem, powietrze robiło się cięższe, a jak milczała, człowiek słyszał własne grzechy.

– Panie kochany... Toż to była prawdziwa żelazna dama. Każdy się jej bał, nauczyciele, dzieci, a nawet ja. Kiedy weszła dziś do szkoły taka odstrzelona, to od razu powietrze zgęstniało i głosy umilkły.

Rucki kiwnął głową.

– Czyli widziała ją pani tego wieczoru?

– Przecież mówię! Widziałam, jak weszła. Pojawiła się punktualnie. Sama. Odwalała się jak zawsze, bo z zasady musiała mieć nową sukienkę na każdą studniówkę. Szpilki czerwone se do tego dobrała, a usta pociągnęła taką samą szminką.

– Co było dalej?

– Tańczyła poloneza, a koło dziesiątej widziałam, jak wyszła z sali i szła na górę, na antresolę. Też sama.

– Czy ktoś za nią szedł? – dopytał Rucki.

Zawahałam się. Widziałam wtedy cień... Ale czy warto o tym mówić?

– Nie... – powiedziałam cicho. – Chyba nie.

Nadkomisarz zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

– Co się stało później?

– Usłyszałam huk. Był głuchy i ciężki, ale głupio pomyślałam, że pewnie młodzież znów coś kombinuje, wolałam więc nie widzieć, co zrobili, żeby nie musieć donosić. Nie wiedziałam wtedy, że...

Patrzyłam, jak spisuje każde moje słowo. Może myślał, że coś ukrywałam? A ja po prostu nie wiedziałam, jak to powiedzieć.

– Znalazłam ją na dole schodów, gdzie leżała... jak lalka, co to ją dziecko rzuciło w kąt. – Przełknęłam ślinę, pewna, że nigdy nie zapomnę tego widoku.

– I wtedy...?

– Nic. Stałam i na nią patrzyłam. I wie pan co? – Spojrzałam mu w oczy. – Nie czułam żadnego żalu.

Rucki pokiwał głową.

– Pani Genowefo... Czy pani ją lubiła?

Znowu się zawahałam. Ale co miałam powiedzieć? Że jej się nie dało lubić? Że każdy modlił się, żeby nie wygrała kolejnego konkursu na dyrektora albo żeby wyjechała w cholerę?

– Czy lubiłam? To chyba nie jest przestrzeń na lubienie. To raczej miejsce na przetrwanie.

– Dziękuję, pani Król. Proszę wracać już do dyżurki, ale nie opuszczać jeszcze budynku, bo mogę chcieć, żeby coś mi pani uzupełniła.

Wstałam, poprawiłam spódnicę i skierowałam się do drzwi. Zanim jednak wyszłam, poczułam jego ciężkie i przenikliwe spojrzenie na plecach. Jakby już wiedział, że nie powiedziałam mu wszystkiego. To jeszcze nie był koniec.

Rozdział 4.

Lojalność? Zależy, kto patrzy.

Nazywam się Barbara Drzewiecka i jestem nauczycielką języka polskiego oraz wicedyrektorem tej instytucji, jak lubiła mawiać pani dyrektor.

Kiedy weszłam do sali przesłuchań, bo tak sobie nazwałam pokój psychologa, zobaczyłam go – nadkomisarza Adama Ruckiego. Facet wyglądał, jakby ktoś go wyjął z telewizora z lat dziewięćdziesiątych i zapomniał przestawić ostrość. Płaszcz z minionej epoki, pod spodem wymięta biała koszula, wypolerowane buty, a w oczach coś pomiędzy zmęczeniem a wewnętrznym przekonaniem, że ludzie w większości są kłamcami. Usiadłam naprzeciwko niego w pozycji otwartej, z rękoma splecionymi na kolanach i spokojną twarzą, choć to akurat musiałam udawać. Postawa klasycznej kobiety, która wiedziała, że zaraz coś zatai, ale chce, żeby wyglądało to jak szczerłość. Popatrzyłam mu w oczy. Nie spuszczał wzroku. Czułam, jakby już mnie zaszufladkował, choć nie wiedziałam, pod jakim podpisem. Może pod

„ambitna”, a może „oziębła intelektualistka z tendencją do przemądrzania się”? A może, bardziej po męsku: „ładna twarz, trochę za gruba na mój gust, ale pewnie miała romans z kimś z kuratorium”. Nie szkodzi. Mężczyźni zawsze tworzą teczeki, do których bezceremonialnie wrzucają kobiety.

– Proszę mi opowiedzieć, jak pani zapamiętała ten wieczór – zaczął tonem zmęczonego spowiednika.

Poprawiłam okulary, choć wcale mi nie spadały. To mój tik nerwowy.

– Było za głośno. Muzyka nie pasowała do elegancji wydarzenia, światła waliły po oczach, jakbyśmy byli na dyskotecie techno w remizie, a uczniowie, mimo zakazów, nieśli ze sobą ten charakterystyczny zapach wódki z plecaka, czego nauczyciele udawali, że nie widzą. Dziś oczywiście tak trzeba, bo nie można do dzieci podchodzić wychowawczo, ale „relacyjnie”. Robiliśmy więc dobrą minę do złej gry. Tylko jedna osoba nie udawała. – Zrobiłam krótką pauzę, żeby zobaczyć, czy jakoś zareaguje na mój wywód, ale nie doczekałam się raczej niczego niespodziewanego. – Pani dyrektor... przyszła od razu nie w sosie. Od razu było widać. Królowa dramatu – dokończyłam.

– Była spięta? Zdenerwowana? – zapytał.

Uśmiechnęłam się do niego z politowaniem.

– Ona zawsze była spięta i zdenerwowana. Waza nie miała przyjaciół, tylko podwładnych. Lubiła, gdy robiło się to, co ona powie. Całe życie miała tak zaciśnięte szczęki, że dentysta nie miałby się jak do niej dobrać.

Rucki uniósł wzrok, prezentując spojrzenie ciężkie jak chmury podczas sierpniowej burzy.

– Czy widziała pani, co się z nią działo tuż przed wypadkiem?

Pokiwałam głową.

– Około dziesiątej zauważyłam, że wychodzi z sali, ale nie odezwała się do mnie ani słowem. Wyszła za próg i wspięła się na antresolę. Uwielbiała tam stać i patrzeć na innych z góry. Zwykle była sama, bo rzadko kiedy pozwalała komuś stać tam ze sobą.

– Ktoś za nią szedł?

Zawahałam się. Owszem, widziałam jakiś cień, może nawet ruch.

– Wydaje mi się... – zaczęłam powoli – że ktoś kręcił się przy schodach. Ktoś młody, więc to musiał być uczeń, ale nie mam pojęcia kto.

Rucki znowu coś zanotował.

– A co pani sądzi o dyrektorce?

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

